

ANNA BENNING
VORTEX
TOM I

**DZIEŃ, W KTÓRYM
ROZPADŁ SIĘ ŚWIAT**

TŁUMACZYLI
ANNA I MIŁOSZ URBANOWIE

Media Rodzina

Tytuł oryginału

VORTEX. DER TAG, AN DEM DIE WELT ZERRISS

Copyright © 2020 by Fischer Kinder- und Jugendbuchverlag, Frankfurt am Main

Copyright © 2021 for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

All rights reserved.

Projekt okładki Max Meinzold

Opracowanie polskiej wersji okładki, skład i łamanie

Radosław Stępniań

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-940-2

Książkę wydrukowano na papierze Lux cream 80g 1,6
dostarczonym przez Zing Sp. z o.o.

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk Abedik

*Umiejętność odnalezienia jedności w różnorodności
stanie się mistrzowskim osiągnięciem
i sprawdzianem naszej cywilizacji.*

MAHATMA GANDHI

— CZĘŚĆ PIERWSZA —

**NOWY
LONDYN**

FRAGMENT PODRĘCZNIKA DLA KANDYDATÓW

Wewnętrzne sprawy Kuratorium

Wyścig vortexami

Wszystkich kandydatów, którzy ukończyli piąty rok nauki i z wynikiem pozytywnym złożyli egzaminy końcowe w jednostce oświatowej, której podlegają, dyrektor właściwego Instytutu zaprasza do udziału w wyścigu vortexami. Kandydaci mają stawić się na linii startu punktualnie. Za odpowiednie wyposażenie do wyścigu odpowiada kandydat oraz jego opiekunowie prawni. Zwolnienie lekarskie traktuje się automatycznie jako rezygnację z udziału w procesie aplikacyjnym. Kandydat ponosi całkowitą odpowiedzialność za własne bezpieczeństwo w trakcie trwania wyścigu.

1

– SPÓŹNIMY SIĘ! – RZUCIŁAM PRZEZ RAMIĘ, przetrząsając skrzynię ze skarbami Luki, którą ostatni raz porządkował pewnie jakieś pięć lat temu. T-shirty, dżinsy, zeszyty, czasopisma, konsole do gier z trzech pokoleń wstecz, napoczęte opakowania słodyczy, srebrny mundur, znoszone buty, ale ani śladu detektora.

Gdzie ten głupol go posiał?

— Spokojnie, zdążymy — doszedł mnie głos od strony łóżka, spod którego wystawały dwie stopy w dziurawych skarpetkach.

Z odrazą zarzuciłam przeszukiwanie skrzyni, kiedy pod jednym z komiksów natknęłam się na starą gumę do żucia. To naprawdę cud, że wśród tych bambetli jeszcze nie rozwinęły się nowe formy życia. Wstałam i powiodłam bezradnie wzrokiem po pomieszczeniu. Kwatery kandydatów były urządzone prosto i skromnie. Każdemu przypadło w udziale łóżko, część szafy, nocny stolik i skrzynia na rzeczy prywatne. Ogólnie rzecz biorąc, było więc prawie niemożliwe, żeby tu coś zgubić. No chyba że człowiek nazywał się Luka Woodrow.

Sześć łóżek piętrowych było wysprzątanym jak przed inspekcją czystości, zwłaszcza że dzisiejszy dzień był ostatnim, jaki mieliśmy spędzić w tych kwaterach. Również moje łóżko

prezentowało się idealnie. Szara pościel i szara poduszka mogły się wyróżniać najwyżej tym, że mojego kąta nie zdobiły żadne plakaty, pocztówki, pluszaki ani bibeloty.

— Jak mogłeś zgubić swój detektor? — zapytałam z rosnącą frustracją. — To najcenniejsza rzecz, jaką masz. Wiesz, że bez niego nie dopuszczą cię do egzaminu!

Głowa Luki o płomiennie rudych włosach wysunęła się wreszcie spod łóżka. Ten błazen miał jeszcze odwagę przewrócić oczami, co było o tyle bezczelne, że był właśnie o krok od pogrzebania przyszłości nas obojga.

— Wcale go nie zgubiłem — oświadczył z bezwstydnym uśmiechem — tylko zapodziałem. A to zasadnicza różnica.

— Nie bardzo, jeśli go nie znajdziemy — powiedziałam i westchnęłam ciężko, po raz setny zerkając na swoje własne urządzenie.

Okrągły wyświetlacz na moim nadgarstku migał na czerwono, co było niewątpliwym znakiem tego, że moje życie zmierzało w ciemną i głęboką przepaść bez możliwości powrotu.

Godzina ósma czterdzieści cztery. Do startu pozostało sześćnaście minut. Już i tak ominęło nas przemówienie dyrektora naszego Instytutu. W przeciwieństwie do nas Varus Hawthorne był punktualny do przesady.

Postanowiłam, że dam Luce jeszcze sześćdziesiąt sekund. Sześćdziesiąt i ani sekundy więcej. Potrzebowaliśmy aż pięć minut, żeby zbiec na dół i dotrzeć do linii startu, a ja nie zamierzałam się spóźnić w dniu, od którego miała zależeć reszta mojego życia. Nawet jeśli mój najlepszy przyjaciel był największym bałaganiarzem na całym terytorium.

Przygotowywałam się do tego biegu od miesiący. Był to ostatni egzamin dla kandydatów i najwyższy zaszczyt, jakiego mógł dostąpić człowiek na Ziemi. Każdego dnia pokonywałam wiele kilometrów w ramach treningu kondycyjnego, a nawet uczęszczałam na trening mentalny u pani Pemberton. A jeśli miałabym wskazać najbardziej bezsensowne zajęcie na tym świecie, to był nim przedmiot o nazwie koncentracja na celu i myślenie ukierunkowane.

Wreszcie będziemy mogli naprawdę podróżować vortexami, a nie tylko do znudzenia ćwiczyć techniki skoków w symulatorach. Będziemy mogli pokazać, czego się nauczyliśmy w ciągu ostatnich lat, i dowiedzieć się, kto z nas jest predestynowany do bycia łowcą.

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że nikt z pozostałych nie był tak doskonale przygotowany jak ja. I właśnie dlatego musiałam już lecieć.

— Znalazłem! — oświadczył Luka, akurat kiedy powzięłam decyzję, żeby go tu porzucić. Z triumfującym uśmiechem wyciągnął detektor z kosza na brudną bieliznę przy drzwiach.

Z przerażeniem patrzyłam, jak ściąga skarpetkę z urządzenia przypominającego zegarek naręczny, i postanowiłam nie dopytywać, jak najważniejszy atrybut kandydata mógł wylądować w brudach.

Zamiast tego westchnęłam tak głośno, że można było mnie usłyszeć we wszystkich terytoriach za Nowym Londynem, i na chwilę przymknęłam oczy, delektując się uczuciem ulgi.

— Ruszaj się, Ellie! — zawołał Luka. Pospiesznie włożył buty i przytrzymał mi drzwi.

Na leb, na szyję popędziliśmy korytarzem, który prowadził od kwater kandydatów, na dół. Minęliśmy pomieszczenia lekcyjne i sale treningowe, w których spędziliśmy ostatnich pięć lat życia. Nie do wiary, że od jutra nie będę zasiadać o godzinie ósmej rano w drugim rzędzie. Luka nie będzie zgrywał klasowego błazna, a ja nie będę się wgapiała w plecy Holdena Hawthorne'a, najbardziej utalentowanego chłopaka na roku, z nadzieją, że kiedyś się odwróci i na mnie spojrzy.

Ale co robić, takie było życie. Definitywnie kończyła się właśnie szkolna harówka. Od jutra każdy z kandydatów będzie zajmował należne mu miejsce w Kuratorium. A dziś się okaże, jakie stanowisko przypadnie mu w udziale.

Biegliśmy, ile sił w nogach, a nasz urywany oddech stawał się głośniejszy z każdym kolejnym krokiem. Niekończące się korytarze Instytutu budziły grozę swoim wyglądem, zwłaszcza chłodem metalowych paneli i wijących się pod sufitem jarzeniówek.

Wciąż miałam w pamięci dzień mojej pierwszej wizyty w Kuratorium. Gdy skończyłam dwanaście lat, ciocia Lis i jej mąż Gilbert przyprowadzili mnie na egzamin wstępny na kandydatkę. Oboje pracowali w Kuratorium. Ciotka była prawniczką w dziale administracyjnym, a jej mąż zwierzchnikiem nawigatorów naszego Instytutu i tym samym podlegał bezpośrednio dyrektorowi. I choć wielokrotnie mi opowiadali o olbrzymim holu wejściowym, który specjalnie zbudowano tak, żeby człowiek natychmiast poczuł się maleńki i nic nieznaczący, zmieniłam się w słup soli.

Kuratorium było... przeraźliwie piękne, jak nie z tego świata. Mieściło się w jednym z drapaczy chmur w Nowym Londynie, który piął się niczym wir powietrzny trzysta metrów w górę,

a wszystkie pomieszczenia wewnątrz wyglądały tak, jakby znajdowały się w ruchu. Wzdłuż ścian i podłóg ciągnęły się cieniutkie faliste linie, które mógł dostrzec jedynie ten, kto uważnie się przyglądał, a które sprawiały wrażenie, jakby metalowe obudowy odpływały w dal. Korytarze miały kształt wiru, który skręcał się spiralnie pośrodku, dając idącym iluzję wpadnięcia w tunel przestrzenny.

„Wszystko się porusza, wszystko dokądś zmierza i ma swój cel” — głosił duży napis przed wejściem do budynku. Podobno był inspirowany sentencją jakiegoś starożytnego filozofa i stanowił motto wszystkich podlegających Kuratorium Instytutów na świecie.

Gilbert tłumaczył mi kiedyś, że siedziba Instytutu miała przedstawiać olbrzymi i żywy vortex. Im wyżej człowiek mógł w niego wnikać, tym bardziej miał być zasłużony w oczach Kuratorium. W jego dolnej części mieściły się pomieszczenia administracyjne i laboratoria naukowe, w środkowej szkolono nas i pozostałe pięć roczników kandydatów, dalej znajdowały się kwatery nawigatorów i strażników stref bezpieczeństwa, a zupełnie u góry — apartamenty łowców, które układały się w ochronny krąg wokół gabinetu dyrektora.

I właśnie tam mieliśmy się znaleźć już jutro.

Kiedy Luka i ja wreszcie dotarliśmy do końca korytarza, pchnęłam drzwi prowadzące na rozległy dziedziniec.

Oślepiły mnie promienie słońca, ale taki drobiazg nie mógł mnie powstrzymać.

Dziedziniec wielkości dwóch boisk do piłki nożnej był wyłożony mozaiką z szarych i niebieskich kamyków układających się pośrodku w spiralny kształt vortexu. Posągi po lewej i prawej

stronie budynku Kuratorium były podobiznami osób aktualnie pełniących obowiązki dyrektorów Instytutów na całym świecie. I tak jak ich było dziesięcioro, tak i dziesięcioro miało być szczęśliwców, którzy będą mogli urzeczywistnić swoje marzenia.

Kilka osób spośród publiczności spoglądało za nami ze zdumieniem, kiedy Luka i ja pędziliśmy wzdłuż mozaikowego wiru, ale większość z zainteresowaniem spoglądała przed siebie.

Musiały być ich setki. Prawdopodobnie byli tu dziś obecni wszyscy zatrudnieni w Kuratorium — nauczyciele, pracownicy administracji i większość nawigatorów stojących teraz w rzędzie za mównicą na czele z Gilbertem, który znajdował się najbliższej linii startu.

Wyścig vortexami odbywał się cztery razy do roku w czterech różnych Instytutach. W tym roku zaszczyt ten przypadł Nowemu Londynowi, Moskwie, Kairowi i Kapsztadowi, następne w kolejce były Hongkong, Tokio, Sydney i Nowy Jork. Ponieważ od kilku lat wyścig transmitowano na żywo w dziesięciu terytoriach, była to wielka atrakcja. Drony z kamerami krążyły nad naszymi głowami — nikt nie chciał przegapić spektaklu.

Jedynymi, których dziś brakowało, byli łowcy, ale zgodnie z tradycją oni nigdy nie uczestniczyli w tej uroczystości. Pełnione przez nich zadania były zbyt ważne, żeby odrywać ich od pracy.

Jak można się było spodziewać, Varus Hawthorne właśnie zbliżał się do końca przemowy.

— Jedynie dziesięcioro z was zostanie przyjętych w elitarne szereg łowców. — Jego głos niósł się po dziedzińcu. — Tylko dziesięcioro będzie w przyszłości strzec naszego ukochanego miasta przed tymi, którzy chcą się na nie rzucić niczym sępy. Więc

biegnijcie szybko i bądźcie uważni, kandydaci. Pamiętajcie: jedna niewłaściwa decyzja może zakończyć wasz egzamin. Macie tylko jedną szansę! Niech zwyciężą najlepsi i niech najlepsi dołączą do łowców we wszystkich dziesięciu terytoriach!

Kiedy skończył, wybuchł ogłuszający aplauz. Głos Hawthorne'a robił przynajmniej takie samo wrażenie jak jego aparycja. Twarz mężczyzny okalały szpakowate, lekko falujące włosy, nadające mu wygląd rzymskiego bohatera. Miał silnie zarysowaną szczękę, prosty nos i wysokie czoło, a cienka linia ust zwykle opadała delikatnie w dół. Był przystojny, choć niezwykle poważny, a w chwilach takich jak ta przypominał mi swojego syna tak bardzo, że aż bolało.

Hawthorne odsunął się o krok od podium i w milczeniu dołączył do Gilberta i pozostałych nawigatorów na linii startu. Nie miałam wątpliwości, że obaj mężczyźni zarejestrowali nasze spóźnienie. Podczas gdy Hawthorne nie okazał emocji, Gilbert wyraźnie się zasępił, a między jego brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka dotykająca linii nosa. Jego twarz przybierała taki wyraz jedynie wtedy, kiedy miał ochotę palnąć Luce i mnie porządne kazanie, ale okoliczności akurat na to nie pozwalały.

Gilbert odchrząknął i wraz z Hawthorne'em popatrzył na urządzenie, które trzymał w dłoniach.

Detektor szefa wszystkich nawigatorów wyglądał jak znacznie większa wersja tych, które każdy z nas nosił na nadgarstku. Były to, najogólniej mówiąc, przenośne komputery, które mieściły wszystko — sonar, kompas i dostęp do mediów w jednym. Dane można było wyświetlić na dowolnym monitorze, ścianie albo po prostu w powietrzu, a technologia detektora, jak zwykł mawiać

nasz nauczyciel przedmiotu energia vortexu i antygravitacji, była „niesamowicie złożona”. Bo jak inaczej tak niepozorne urządzenie byłoby w stanie przewidzieć, że dokładnie dziś o godzinie dziewiętej w miejscu, w którym stoimy, powstanie tunel przestrzenny?

Oczywiście wyobraźni widziałam sekundy, nieustępliwie i bezlitośnie odliczane przez detektor Gilberta, i ostatni kawałek pokonałam sprintem.

Wszyscy inni kandydaci już zajęli pozycje startowe. Czterdzieścioro czworo chłopaków i dziewczyn, którzy ostali się po wielotygodniowych testach. Niektórzy przybyli tu z mniejszych centrów szkolenia kandydatów, to znaczy ze Szkocji, Niemiec czy Francji, a inni, jak Luka i ja, uczyli się bezpośrednio w Instytucie. Kiedy zaczynaliśmy, było nas ponad dwieście osób, ale z czasem większość odpadła i przyjęła propozycję kariery w administracji albo w centrum badawczym.

Tylko niewielu było przeznaczonych do tego, żeby zostać łowcami.

A wśród nich byłam ja.

Dużą część kandydatów znałam z zajęć. Nie marnowałam jednak czasu na nawiązywanie przyjaźni. Bo na co by mi się zdał najlepszy przyjaciel, gdybym przekroczyła linię mety jako jedenasta?

Stałam, usiłując wyrównać oddech. Wciągałam do płuc chłodne poranne powietrze, nakazując sobie spokój. Wreszcie nadszedł ten dzień. Frustrację, że przez swoje roztagnienie Luka niemal pozbawił mnie szansy na start, odłożyłam na potem.

„Skup się, Elaine. Skoncentruj się na prawidłowym oddechu. Bądź twarda jak skała”.

To, że akurat teraz usłyszałam w głowie głos pani Pemberton,

było niewątpliwie znakiem, że lada moment wykorkuję z nadmiaru emocji.

— Nie wierzę! Wasz duet nieudaczników spóźnia się nawet w taki dzień jak dziś — usłyszałam pełen jadu głos. Odwróciłam głowę i ujrzałam przed sobą śliczne lodowatoniebieskie oczy i szyderczo wydęte usta. — Co tym razem, Collins? Twój chłopak znów podpalił sobie ciuszki?

— Luka nie jest moim chłopakiem — syknęłam, po czym dodałam nieco ciszej: — A to z jego swetrem, to był wypadek.

Poza tym od ostatniego wypadku minęło wiele tygodni. Luka doskonale potrafił się opanować. Nie należał do sępów, o których mówił Hawthorne. Nie, serio. To, że jego krew różniła się od naszej, mogło mieć znaczenie dla aroganckich lasek pokroju Mii Rose Lancaster. Ale na pewno nie dla mnie.

— Wypadek? Chyba raczej przypadek. Beznadziejny. To, że pan Woodrow go tu trzyma, to wstyd i hańba dla całego Instytutu. Ale jasne, tłumacz sobie, że jest inaczej, jeśli dzięki temu możesz spać spokojnie. — Na twarz dziewczyny wykwitł triumfalny uśmiech. — Od jutra już i tak nie będziecie moim problemem. Ty i ten twój dziwoląg nie macie szans.

— Jeszcze zobaczymy — odparłam, mając wielką nadzieję, że odpuści.

Mia i jej nieustanne złośliwości strasznie działały mi na nerwy. Jej ojciec zajmował się produkcją mundurów dla Kuratorium, dzięki czemu rodzina Lancasterów miała forsy jak lodu i duże wpływy. Ale nie tak duże jak Gilbert, który jako szef nawigatorów był najpotężniejszym człowiekiem w całym terytorium zaraz po Varusie Hawthornie.

Innymi słowy, rodzina Mii znajdowała się na drabinie społecznej pode mną. I dlatego dziewczyna szczerze nienawidziła i Luki, i mnie.

To, że stanęłam na linii startu właśnie obok niej, pewnie nie wróżyło nic dobrego, ale postanowiłam zachować spokój. Zamiast się na nią wkurzać, powiodłam wzrokiem po innych kandydatach.

Spojrzenie jednych było skupione na tym, co się działo przed nimi, innym wyraźnie drżały kolana. Nie tylko Mia patrzyła w moją stronę. Gapił się na mnie również pewien chłopak. Z ciemnoblonde włosami, złotobrązowymi oczyma i poważną miną był wierną kopią swego ojca.

Pewna żalosna część mnie miała ochotę promiennie się uśmiechnąć, ponieważ Holden Hawthorne poświęcił mi ułamek swojej uwagi, ale zmusiłam się do oszczędnego skinienia głową. To nie był czas na durne marzenia o chłopakach.

Kącik ust Holdena zadrżał, po czym syn dyrektora ponownie skupił się na dzisiejszym zadaniu. Z całą pewnością już zapomniał o moim istnieniu.

Dziewczyna z drugiego rzędu. Zawsze druga w klasie. A w każdym razie druga do wczoraj.

Westchnęłam ciężko. Teraz nic już nie miało znaczenia. Dziś liczył się tylko wyścig. Dziś miałam wszystkim udowodnić, że jestem stworzona do tego, żeby zostać łowczynią.

Byłam gotowa.

Publiczność zaczęła bić brawo i wiwatować, jakby już ogłoszono dziesięcioro zwycięzców. Przeskanowałam tłum i z ulgą wypatrzyłam stojącą po lewej stronie ciotkę Lis i jej blond loki. Była jedyną osobą, która siedziała na ławce, a nie podskakiwała

radośnie jak wszyscy wokół niej. Nie wyglądała na zachwyconą, a raczej na zmartwioną, ale to akurat nie było dla mnie żadnym zaskoczeniem.

Lis zawsze wypierała fakt, że chce zostać łowczynią. Podczas gdy inni rodzice robili wszystko, żeby kiedyś zobaczyć swoje dzieci na linii, na której teraz stałam, Lis nieodmiennie fundowała mi kazania. „Wiedziałaś, że przewidywana długość życia łowców wynosi czterdzieści dwa lata? Czterdzieści dwa, Elaine!”. Już sam fakt, że tu była, aby obejrzeć wyścig, przerósł moje najśmielsze oczekiwania.

Uśmiechnęłam się do niej nieśmiało, a kiedy Lis objęła się ramionami i odpowiedziała mi krzepiącym uśmiechem, poczułam, że wreszcie się uspokajam.

— Przez ciebie już jestem wykończona, chociaż jeszcze nawet nie zaczęliśmy! — szepnęłam do Luki, przyjmując pozycję startową.

Luka tylko się uśmiechnął. I to tym charakterystycznym bez troskim uśmiechem, który sprawiał, że byłam gotowa wybaczyć mu wszystko.

— Dasz radę — odszepnął. — Będą łykać twój kurz.

Skinęłam głową, wiedząc, że muszę dać radę, i skupiłam wzrok na murze przed nami.

Dla osób z zewnątrz nasz „tor” musiał prezentować się wyjątkowo absurdalnie. Wszyscy uczestnicy stali w rzędzie, ale nie przed otwartym terenem, tylko przed... ścianą.

Oczywiście wiedziałam, co się stanie już za parę sekund. Gra-wisensory — małe kuleczki wielkości paznokcia rozmieszczone w całym Instytucie, które uniemożliwiały vortexom tworzenie się na obszarze Kuratorium — wciąż jeszcze migotały. Ich rozmiar

był wprawdzie niewielki, ale moc — potężna. Za chwilę Gilbert na krótko je dezaktywuje.

Wiedziałam, jakie niebezpieczeństwa mnie czekały. Wyścig vortexami nieprzypadkowo stanowił ostatni etap na drodze do przyszłości nas wszystkich. Bez przerwy się zdarzało, że podczas pierwszej podróży tunelem kandydaci odnosili ciężkie obrażenia. Niektórzy dlatego, że za bardzo się zbliżyli do niebezpiecznych energii, które tam wirowały, inni zaginęli gdzieś po drodze. Zwykle krótko potem wracali po nich łowcy, ale było powszechnie wiadomo, że dla niektórych pomoc przybywała za późno.

Czasem dochodziło nawet do wypadków ze skutkiem śmiertelnym. W ubiegłym miesiącu tunel poprowadził kandydatów przez Stany Zjednoczone i Kanadę aż po Grenlandię i na jednym z końcowych etapów pewien chłopak wpadł do lodowatego jeziora i już nigdy się nie wynurzył.

— Kandydaci! — zagrział Hawthorne donośnym głosem.

Drony nad naszymi głowami zawisły na chwilę w powietrzu, żeby uchwycić zbliżenie twarzy każdego z uczestników. Obrazy te wyświetlano na ogromnych telebimach i wysyłano w świat. Po dzisiejszym dniu każdy człowiek na Ziemi będzie znał nasze imiona. Tym bardziej usiłowałam sprawiać wrażenie zdecydowanej i pewnej siebie.

Wzrok Hawthorne'a spoczął na synu, a malujące się w nim oczekiwanie sprawiło, że po plecach przebiegł mi dreszcz niepokojący.

Gdyby stała się rzecz niemożliwa i nie znalazłabym się dziś pośród zwycięzców, Lis i Gilbert mocno by mnie uścisnęli, pocieszyli i zapewnili, że zadanie nawigatora również należy do

bardzo ważnych. Za to jeśli chodzi o Holdena... No cóż, w jego przypadku nie istniała żadna alternatywa. Ten dzień mógł się dla syna dyrektora Kuratorium zakończyć wyłącznie w jeden sposób — nie tylko miał przekroczyć linię mety, ale miał tego dokonać z najlepszym czasem. Holden musiał wygrać wyścig.

— Nadszedł czas! — wołał dalej Hawthorne. — Wszystko się porusza, wszystko dokąś zmierza i ma swój cel. Pamiętajcie o tym, kandydaci. Działajcie zgodnie z naszą maksymą. Na mój znak!

Gilbert wystąpił naprzód. Jako szef nawigatorów miał za zadanie dopilnować, by impreza odbyła się sprawnie i by tunel utworzył się dokładnie w chwili, gdy zostanie oddany sygnał do startu. Tylko w tym celu mój wuj prowadził wielotygodniowe obliczenia, czym doprowadzał do szału Lis, Lukę i mnie. Mąż cioci był wysokim i szczupłym mężczyzną o jasnobrązowych włosach, który w każdej sytuacji prezentował się nienagannie i wyglądał, jakby nigdy nie tracił zimnej krwi. Na przemian spoglądał na ścianę i na swój detektor, aż wreszcie uniósł dłoń.

W tej sekundzie grawisensory zamigotały po raz ostatni. Ich niebieskie światło było dla mnie symbolem absolutnego bezpieczeństwa. Teraz stały się czarne.

Rzuciłam Lis ostatnie pospieszne spojrzenie. Już się nie uśmiechała. „Wszystko będzie dobrze” — usiłowałam ją zapewnić na odległość. „Nie martw się”.

Potem odwróciłam wzrok.

Kilkoma szybkimi ruchami upewniłam się, że srebrny plecak znajduje się na miejscu. Wyglądziłam blond włosy i poprawiłam kucyk. A potem zobaczyłam tworzący się przed nami wir

i usłyszałam towarzyszący mu narastający szum. Miałam wrażenie, że naciera na nas fala gorącego powietrza, która powiększa się w jednym punkcie, rozciąga jak spirala i staje się coraz głośniejsza.

Był to najprawdziwszy vortex.

— Kandydaci! — zawołał znów Hawthorne. Pochyliliśmy się do przodu, nie mogąc oderwać wzroku od powiększającego się otworu, w którym wirowały niebo, ziemia, ściany i powietrze. — Przygotować się do biegu! Trzy!

Serce waliło mi tak mocno, jakby miało wyskoczyć z piersi. Poczulałam, jak Luka bierze moją dłoń w swoją, żeby ją lekko ucisnąć.

— Powodzenia — szepnął.

— Powodzenia — odszepnęłam.

— Dwa! Jeden!

Wszystko się we mnie spięło i wzięłam ostatni głęboki oddech.

— Start! — Ostatnie słowo wystrzeliło z ust dyrektora niczym pocisk i wszystkich czterdzieścioro czworo kandydatów równocześnie skoczyło naprzód. Niektórzy byli szybsi od innych, ale prędkość stanowiła jedynie pół drogi do zwycięstwa. Do tunelu wskoczyłam czwarta.

Kątem oka zarejestrowałam fakt, że kilka osób natychmiast zostało wyrzuconych z vortexu, więc zamknęłam oczy, żeby skoncentrować się tak, jak mnie uczono podczas zajęć w symulatorach.

„Bądź szybka jak strzała” — powtarzałam sobie w głowie słowa nauczycieli. — „Wyczuwaj energię, ale nigdy się do niej nie zbliżaj”.

Wtedy wir porwał mnie całą. Czułam, jak mną szarpie, jak szczypie uderzeniami wylądowań elektrycznych, jak młóci błyskawicami światła.

„Wszystko się porusza, wszystko dokądś zmierza i ma swój cel”, pomyślałam.

„Wszystko się porusza, wszystko dokądś zmierza i ma swój cel”.

„Wszystko się porusza, wszystko dokądś zmierza i ma swój cel”.

A potem odpłynęłam w niebyt.